

Lewo jazdy

22 kwietnia 2008

Niewiarygodna historia wypędzonego w marcu 1968 r. rodaka, który chce odzyskać nie jakieś głupie obywatelstwo, ale polskie prawo jazdy.

Joachim Sawicki nigdy nie należał do PZPR. Jakoś się tak składało, że kłócił się z kumplem, który go do partii werbował, przez co nie zdążył podłożyć do podpisania deklaracji. Dzięki temu zbiegowi okoliczności teraz Sawicki może odgrywać bohatera wśród innych bohaterów, swoich kolegów, których do partii nikt nie chciał przyjąć.

Koledzy Sawickiego tylko pozornie nie mają tu żadnego znaczenia. W marcu 1968 r. w centrali handlu, w której Sawicki był wicedyrektorem, urządzono zebranie dotyczące wojny izraelsko-arabskiej. Jak to na zebraniu głos najczęściej zabierali ci, którzy nie mieli nic do powiedzenia. A ponieważ Sawickiemu się spieszyło do kochanki, z przekory rzucił, że popiera Izrael, i wyszedł. Następnie ktoś odkrył, że Sawicki jest Żydem, inny ktoś, że nie należy do partii. Uznano więc, że jest pasożytem na polskim narodzie. Sytuacja ta wydała mu się nawet korzystna, bo i tak zamierzał coś zrobić ze swoim życiem, ale odstręczały go wygibasy z otrzymaniem pozwolenia na wyjazd.

Marzec 1968 r. Sawickiemu zesłały więc niebiosy. Z postmarcową etykietką w Nowym Jorku można było zrobić karierę. Sawicki robił handlową. Był taki załatany, że w odwiedziny przyjechał dopiero do III RP. Był rok 1992 i Sawicki jechał sobie właśnie wypożyczonym samochodem z Warszawy do Krakowa. Miał ze sobą troje narąbanych pasażerów – kochankę, jej koleżankę i kolegę. Zatrzymał ich patrol policji tuż przed Warszawą. Na liczniku było o 40 km więcej niż na znaku ograniczenia prędkości. Skończyłoby się pewnie na łapówce dla gliniarzy, gdyby nie idiotka koleżanka kochanki, która gdacząc i rycząc wypadła z

samochodu. Gliniarze kazali Sawickiemu chuchnąć, a następnie przejść po rzuconym na jezdnię sznurku. Sawicki po nim prosto nie przeszedł, bo nigdy nie był cyrkowcem. Gliny uznały, że Sawicki jest narąbany i w tej sytuacji, ponieważ jest obywatelem Stanów Zjednoczonych, trzeba zabezpieczyć jego prawo jazdy na potrzeby procesowe. Na posterunku policji po badaniu alkomatem stwierdzono u Sawickiego 0 promila. Jednak sprawa przed kolegium ds. wykroczeń musiała się odbyć, bo Sawicki nie przyjął na miejscu wykroczenia mandatu za przekroczenie prędkości.

Sawicki musiał wrócić do Stanów przed rozpoczęciem procesu, zaocznym wyrokiem sądu został więc uznany winnym przekroczenia prędkości, a uniewinniony od zarzutu kierowania pojazdem po pijanemu. Wszystko pięknie, ale w kwiecie z sądu nie było ani słowa o zwrocie prawa jazdy. Dlatego Sawicki, po raz kolejny odwiedzając III RP, udał się na posterunek policji, by wyjaśnić, co z prawkiem. Tam poinformowano go, że zatrzymane dokumenty gliny z automatu przekazują procesowemu dysponentowi prawa jazdy. Człowiek w policyjnej dyżurce wyrecytował przepis, ale poproszony, by mówił po polsku, nie potrafił odpowiedzieć, co to za procesowy dysponent. Szef posterunku podczas 20-minutowego monologu wyjaśnił natomiast, że dysponentem jest dysponent. Dwa dni zajęło Sawickiemu dowiedzenie się, że dysponent to kolegium ds. wykroczeń, którego szukać trzeba przy sądzie rejonowym.

Sawicki dotarł w ten sposób do sądowego orzeczenia o zwrocie prawa jazdy bez zbędnej zwłoki. Ale swojego polskiego prawa jazdy tam nie znalazł. Uprzejma pani z sekretariatu sądowego oznajmiła, że prawko Sawickiego musi być widocznie w organie egzekucyjnym. Intuicja podpowiadała Sawickiemu, że szkoda nóg, i pewnie by jej posłuchał, gdyby nie to, że amerykańskie prawo jazdy nie było wówczas w Polsce uznawane, polskie w Stanach zresztą też nie, ale polskie w Polsce – owszem.

Po kolejnych dwóch dniach poszukiwań okazało się, że organem egzekucyjnym jest wydział komunikacji w urzędzie miejskim.

Urzędasy przyznały, że kiedyś miały w rękach prawo jazdy Sawickiego, ale dawno temu przekazały je z powrotem do organu procesowego dysponenta, który nie dołączył go do akt, bo było wówczas upalne lato i jedyny ktoś z kolegium, kto nie był wówczas na urlopie, cofnął przesyłkę z powrotem do wydziału komunikacji. Wtedy wydział wysłał przesyłkę ponownie do sądu, ale sąd ją odesłał z powrotem, bo nie było tam adnotacji o tym, do jakich akt ma trafić prawo jazdy ze zdjęciem. No i prawo jazdy chyba wróciło, ale też bez adnotacji do jakiej sprawy, ostatecznie więc prawo jazdy Sawickiego gdzieś wcięło. Co ciekawe, nigdy fizycznie nie pojawiło się na żadnej sprawie sądowej, bo w żadnym protokole nie ma ani słowa o przedłożeniu skonfiskowanego dokumentu.

To pozwala wątpić, czy prawo jazdy Sawickiego w ogóle istniało, i Sawicki przyznaje, że po powrocie do Nowego Jorku nieraz stawał przed lustrem i zadawał sobie poważne pytanie, czy kiedykolwiek polskie prawo jazdy posiadał. A ponieważ zawsze słyszał od faceta w lustrze przekonujące „tak”, postanawiał sprawę drażnić.

Minęło parę lat i w 2001 r. Sawicki znowu zaatakował kolegium ds. wykroczeń, ale okazało się, że zamiast kolegów są sądy grodzkie, co przez lingwistykę cofnęło myśli Sawickiego do średniowiecza. I słusznie. Pani w sądzie grodzkim poleciła kosmiciemu Sawickiemu napisać do Naczelnego Sądu Administracyjnego skargę w tej sprawie. Napisał. Odpowiedź przyszła po roku. NSA powołuje się na swój wyrok z 28 listopada 1984 r. w podobnej sprawie. W skrócie, po przetłumaczeniu sądowego pisma Sawickiemu przez prawnika, sąd poradził Sawickiemu chwilę pomyśleć i cmoknąć się w dzyndzla. Bo nawet jeśli jego prawo jazdy by sądowi nie zaginęło, to i tak po roku od zatrzymania go przez organy państwowe z powodu wykroczenia byłoby nieważne i uniewinnienie nie ma tu nic do rzeczy. A nawet jeśli by miało, to przecież Sawicki i tak przebywał w tamtym czasie w USA, więc i tak by prawka terminowo nie odebrał, co skutkuje jak na wstępie. Organ

przetrzymuje dokument tylko rok, a jak go właściciel nie odbiera, traci ważność, czyli ląduje w śmieciach. Pod orzeczeniem podpisała się sędzia Anna – z nabazgranego nazwiska Sawicki odczytał – Vagina.

W imieniu Sawickiego na wydział komunikacji skargę do prokuratury napisał prawnik. Prokuratura odpisała szybko – w ciągu dwóch miesięcy – owszem, to przegięcie, że zaginęło Sawickiemu prawko, ale postępowania nie ma co wszczynać, bo to znikoma szkodliwość.

Autor: Iza Kosmała

Źródło: [Tygodnik „NIE” nr 11/2008](#)